CENA 30 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI
·TYGODNIK· ILUSTROWANY·

ROK VII. WARSZAWA, 22 MAJA 1938 R. Nr. 21 (260)

W. Bączkowski

Wojna czy pokój?

Wstęp.

Wszędzie tam, gdzie się stawia pytanie „wojna czy pokój?", wszędzie tam, w naszych czasach deklamacji pokojowej i czynów, świadczących, że nikt nie boi się i nie unika wojny, zwycięża postulat walki z jej wielkimi emocjami i wiarą w przemianę na lepsze, z jej dynamicznością i swoistą pełnią życia. Nic więc dziwnego, że i na naszych kresach zwycięża wola walki i żywioły wojujące tworzą tam rzeczywistą rzeczywistość kresowych stosunków. Ta czerstwa prawda niepodzielnie zlana w jedną całość z horyzontem kresowych zamczysk i tatarskich szlaków, z tradycją wielowiekowych walk na miecze i kropidła o dusze, musi mieć jednak jakiś wyższy cel i jakiś jasny kierunek, musi mieć poczucie celowości i odpowiedzialności. Inaczej będzie karczemną, mściwą bójką ciemnych pijanych chłopów, wzajemnym duszeniem się ślepców i rozładowywaniem wielkiej, twórczej energii na harce i podjazdy, będzie anarchią, otwierającą wrota wrogom, którzy zawsze przychodzą tam, gdzie powstaje pustka ładu.

Jakiego rodzaju walkę obserwujemy na kresach w dniach naszych? Sądzimy, że jest to walka tego drugiego rodzaju, produkująca dzikie pola zniechęconych dusz rozumnych i rozzuchwalanie się — nikczemnych i głupich. Rozważmy, gwoli udokumentowania tej tezy, najpierw temacik, któremu nadamy podtytuł:

Teza „ukrainożercza.

Twierdzimy, że każdy rozumny „ukrainożerca", na każdym kroku stwierdzi łatwo, że wszystko cokolwiek dzieje się na kresach naszych w aspekcie swoistego pomniejszenia ukrainizmu, wszystko to dziwnym prawem reakcji (albo przysłowiowego drugiego końca kija) obraca się w niwecz i wzmacniając w najbliższej nawet konsekwencji ukrainizm, jednocześnie bije mocno i tragicznie w fundamenty polskiej idei państwowej na kresach. To ogólnikowe twierdzenie stanie się zrozumiałym w aspekcie niedyskusyjnego faktu mobilizowania się w ostatnich czasach ukrainizmu w Polsce przeciwko obecnemu reżymowi i przeciwko Polakom. To zaś mobilizowanie się wywołane znanymi wydarzeniami w stosunkach polsko-kresowych, tylko wówczas mogłoby być nieszkodliwe i w nienaruszalnej całości i czystości pozostawić na koncie polskim te bardzo względne i jeszcze niewypróbowane zdobycze, jakie posiedliśmy, gdybyśmy jednocześnie mogli i umieli zastosować wobec Ukraińców zasadę fizycznej eksterminacji (a la Turcja wobec Ormian), lub masowego wysiedlania (a la Turcja z Grekami).

Nie do innych wniosków przyjdziemy rozważając ten problem od strony poszczególnych wydarzeń. Casus z „Sojuzem Ukrainek" może tu posłużyć za dobry przykład świetnego, za jednym uderzeniem czarodziejskiej różdżki, zmobilizowania przeciwko państwu i bez tego wcale nie przejętych polską ideą państwową kobiet ukraińskich, t. zn. tej warstwy, która z natury rzeczy była dalszą od polityki i bliższą wszelkich form pokojowego załatwienia spraw polsko-ukraińskich. Zamknięcie „Sojuzu Ukrainek" to jest najszybsze ze wszystkich możliwych sposobów przetworzenie rodziny ukraińskiej w bastion, którego symbolem będzie to dawne i dobrze nam znane „twierdzą nam będzie każdy próg". Od dzisiaj więcej i częściej niż kiedykolwiek przedtem spotykać będziemy rodziny ukraińskie, w których i *on i ona*, stanowić będą *całość polityczną, nie tylko narodową*, wychowującą swe potomstwo w duchu najmniej dla nas pożądanym.

Dla całości obrazu dodać tu należy sprawę placu „Sokoła — Bat'ki", *która, jakkolwiek wywołana została niedyskusyjnymi względami potrzeb obronnych kraju*, tym niemniej w obecnej atmosferze odegrała rolę całkowitego „domobilizowania" antypolskiego *całej* rodziny ukraińskiej, gdyż wywołała niepożądaną reakcję i ze strony młodzieńca i dziewczyny ukraińskiej.

Nie potrzeba zaś dodawać, że wszędzie tam, gdzie ojciec, matka i dziecko, są przejęci jedną myślą, gdzie cała rodzina jednocześnie poczyna myśleć jednakimi kategoriami, tam właśnie powstają rzeczy wręcz odmienne od tych, jakich się spodziewamy.

Niemniej dziwnym uzupełnieniem tego obrazu stosunków posłużyć może wystąpienie posła Wojciechowskiego w stosunku do metropolity Szeptyckie-

go. Sądzimy, że od czasów wojny polsko-ukraińskiej i pacyfikacji z 1930 r. nie przeżyła cała „Galicja" takiego wstrząsu konsolidacyjnego w społeczeństwie ukraińskim, jakiego byliśmy świadkami po tym niefortunnym wystąpieniu. Przecież nawet pomiędzy moskalofilami i Ukraińcami zaczęły się pogaduszki o wspólnym froncie, przecież autorytet metropolity, którego dotychczas podejrzewano o planetarne plany wyłącznie misyjno-katolickie, wzrósł niepomiernie nawet wśród Ukraińców prawosławnych, rozwalając zbudowaną od wieków niechęć prawosławnych do unij.

Niemniej niefortunnymi są inne zjawiska, o których wolimy nie mówić, lecz które każdy sobie uzupełni, otrzymując obraz tajemniczych przemian, zachodzących na kresach na korzyść strony trzeciej.

Powracając znów do przykładów eksterminacji u obcych, musimy rozczarować zwolenników t. zw. polityki mocnej ręki o słabych skutkach, że w innych państwach akty podobnego rodzaju łączą się z polityką wyludniania kraju, z masowymi egzekucjami i zesłaniami, przy których dziecko idzie na ulicę, matka na północ a ojciec na południe, oddzieleni od siebie tysiącami kilometrów. Podobnej polityki prowadzić nie możemy, nie prowadziliśmy, prowadzić nie będziemy nigdy, po co więc ubieramy się w obce stroje, omamiając i obcych i swoich? Po co zaczynamy gierkę, której do konsekwentnych krańców doprowadzić nie możemy i nie chcemy, gierkę, po której pozostajemy albo wewnętrznie i w ukryciu pobici albo stajemy się zwycięzcami pyrrusowego typu? Po co i na co stwarzamy sytuację, którą obserwując zaczyna się na sposób średniowieczny wierzyć w diabła, szepczącego do ucha złe rady najlepszym nawet ludziom i popychającego ich do samobójczych kroków? Po co i na co produkować rzeczy, które na myśl przywodzą bajkę o niedźwiedziej przysłudze, od której się umiera?

Po co i na co utraciło się świetną okazję do powstania w Polsce mocnego stronnictwa państwowego wśród Ukraińców, idących na normalizację w 1935 r. a dziś cofających się na całej linii do pozycji opuszczonych z takim trudem i w tak długim czasie respektowanych? Po co się szarga najnowszą świętość narodową i katolicką — św. Andrzeja Bobolę, przypisując jego wstawiennictwu i Hrynki, i odwołanie wojewody Józewskiego wobec faktu powszechnie znanego listu otwartego p. G..., w którym mowa o tym, że nawracalibyśmy z katolicyzmu na prawosławie, gdyby ono stało się polskim a nie obcym, w którym mówi się że katolicyzm, to w istocie... fiume? Po co się łączy św. Andrzeja Bobolę z nawiskami Achtiechtiarewa i Siedielnikowa [1]).

Rozpatrzmy z kolei tezę odwrotną, którą określimy mianem:

Tezy „polakożerczej".

Aspekt „polakożerczy", a więc aspekt antypolskiej akcji Ukraińców jest jeszcze bardziej beznadziejny i wyraźnie samobójczy. W każdej swej wersji jest bezcelowy i rozładowujący wszelkie przyszłościowe perspektywy ukraińskie nad Dnieprem. Wojna bowiem z Polakami i Polską, to najbardziej szatańskie kuszenie Polski do współpracy z Moskwą w zagadnieniu ukraińskim, to tworzenie antyukraińskiego frontu wraz z Rumunią, a nawet w przyszłości z Czechami. To jednoczesne utrudnianie współpracy polskiej z Niemcami, wraz ze wszelkimi konsekwencjami tej współpracy dla Ukraińców. Wojna z Polską, to zarazem redukowanie zagadnienia ukraińskiego nad Dnieprem do zagadnienia wybrzeży kubańsko-krymsko-ukraińskich — dla Italii; to tworzenie warunków podziału terytorium Ukrainy naddnieprzańskiej pomiędzy Niemcami, Italią i innymi w wypadku rozpadu Rosji. Jest to zarazem likwidowanie zainteresowań Anglii w zagadnieniu ukraińskim, gdyż tworząc wielką konkurencję (dla państwa już częściowo wypartego z basenu Morza Śródziemnomorskiego!) w zagadnieniu ukraińskim, zarazem redukuje jej zainteresowanie do skali realnych wymogów angielskich, a więc do kwestii kaukaskiej (nafta) i Turkiestanu (droga do Indyj).

Walka z polskością, to jednoczesne podkopywanie sobie fundamentów kulturalnych i narodowych w Polsce, bez których ukrainizm w całym świecie zredukuje się do roli czwartego stanu świata.

Wywody.

Stwierdzamy całkowite bankructwo tezy zarówno „ukrainożerczej" jak i „polakożerczej". Są to tezy bijące zarówno w polską jak i ukraińską rację, oraz *wzmacniające pozycję Sowietów nad Zbruczem i pętające* swobodę ruchów Polski na wschodzie, wyzwalające zarazem Sowiety od obaw wobec tej swobody ruchów. Dalszą konsekwencją tego stanu rzeczy jest wzmożenie pozycji sowieckiej, co nie leży na linii racji ani polskiej, ani ukraińskiej. Obie te tezy są zarazem „koniem trojańskim" wpływów rosyjskich i innych, żerujących na tych prądach i wciskających się dzięki nim na teren kresowy.

Główną atoli i zasadniczą cechą skutków, płynących z realizacji obu tych tez, jest to, że pełnią one funkcję powolnego i niedostrzegalnego rozładowywania energii wojennej kresów, *kryjąc więc za buńczucznymi okrzykami harcowników, ukryte, ajenturalne, najszkodliwsze w naszych czasach, zasady pacyfistyczne.* Prawdę tych słów wyszpera każdy, ktokolwiek przypomni sobie lub dowie się, że każdy wyznawca wiary w fantastyczny pokój w dzisiejszym świecie, będzie wrogiem „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego" i jego idei, zaś każdy realista, świadomy rychłej ewentualności wojennej, *nie zarażony tchnieniem sekciarsko-masońskiego pacyfizmu i ukrytej za nim wiary w kraj „dziejowego eksperymentu"* przyzna nam rację i nasze wywody — nawet w wielu wypadkach nie przyznając nam racji, — zrozumie i w zasadzie poprze.

Jesteśmy bowiem zwolennikami *jeśli wojny, to prawdziwej*, nie zaś nocnych harców przy stertach i kokoszej „wojny" z kobietami, jesteśmy może niekiedy naiwnymi, lecz upartymi megafonami wielkich myśli J. Piłsudskiego, który mówił o potężnej Polsce na Wschodzie Europy, regenerując wspaniałą tradycję polskich planów wschodnich, dalecy natomiast jesteśmy od tradycji XVII i XVIII stulecia, które tak pracowicie chce wskrzesić ajentura wraz z głupotą. I dlatego nie godzimy się na konfiskatę wielkich idei Wielkiego Marszałka przez ślepą dmowszczyznę, ukrytą za skradzionymi godłami chwilowo osłabionej piłsudczyzny.

[1]) Ks. Kosibowicz, członek zakonu, do którego należał św. Andrzej, w artykule „Sprawa ukraińska" w kwietniowym Nr. „Przeglądu Powszechnego" wyraźnie się wypowiedział po stronie Grunwaldu, nie Piławiec, po stronie Unii Brzeskiej, nie Hakaty, zyskując słuszny komplement „późnego wnuka ojca Skargi".

Józef Łobodowski

Inwokacja

Opowiadam w rytmicznej mowie starej ziemi wstające dzieje!
Oto lasy i łąki skłaniają się w zmierzch i świt,
purpurową łuną oblane niebo goreje,
smagłe palce wiatru na drzewach się kładą —
na klawiszach zielonych lir,
i pod mgłami poranka srebrno-błękitny Styr,
jak napięta, wielodźwięczna struna...

Opowiadam o mrocznych wodopojach, o spłoszonych w burzy tabunach,
metalicznej grozie w czas nocny, zawiei chmur,
rozrzuciłem się, rozdałem ziemi, i już śpiewa we mnie jej chór,
i zachodnie niebo nademną jak matka się chyli,
i wyciągają dłonie złote pnie przedwieczornych sosen,
Obłok staje nad głową, gwiazda się uśmiecha,
granatowa, wołyńska noc stąpa po ciemnych strzechach,
naręcza smutku i tęsknot w ramionach niesie — —
i szepczą wargi w mroku niewidoczne:
— ojcze mój, —
jenżeś na ziemi i w niebiesiech!...

Opowiadam w rytmicznej mowie sny, o mglistym świcie marzone,
o błękitnych w polu ogniskach, wiosennych świętach,
o porannych sadach,
gdy za gardło chwyta jaśmin, czeremcha i mięta,
i słońce nad moją ziemią złotym podnosi się dzwonem,
kiedy dymią stare kurhany, a na zgliszczach minionych lat
rozbsłykują ogniem ukrytym dworzyszcza i chaty kurne,
i oślepła dziewka helleńska przechodzi w stepowy świat,
o przydrożne, polne kamienie postukując ciężkim koturnem.

Szły lata, przetaczały się naprzemian krwawe i znojne,
białe świty wstawały nad lasem, krótkie noce ruszały w pochód,
fijołkowe uśmiechały się oczy, dzwoniła surma popłochu,
pochylały się bieguny życia w szczęście i w wojnę,
narastała miłość i rozkosz, kładły się ciała w proch,
godziny umykały grającym zegarom,
rdzewiały miecze w czarnoziemiu płytkim,
bez reszty się spełniałaś, człowiecza ofiaro,
aż, jako nowy pęd życia, co wyrasta na cmentarzu wojen
wierny wiosny nieśmiertelnemu hasłu,
przyszedłem i rozejrzałem się w dziedzictwie swoim,
— nieodrodny syn
starej ziemi walki, klęski, zbrodni i zasług. —

Wieje wiatr północny i wschodni od dalekich pól Witebszczyzny,
szumi cicho słowami kołysanki matczynej.
A z południa wichura inna, czarnomorskim przesycona jodem,
opowiada i wtapia w swój śpiew zaporoską, smagłą urodę,
wichrzy grzywy bujnie rozrosłe niewidzialnym, stepowym koniom
i przypada do nóg i za włosy chwyta mnie dłonią,
czoło chmurą przesłania, chwiejne kroki zawraca.

Nie ma rady na głos, którym ziemia wieczorna wzdycha,
ni sposobu na cień, co na wszystkich kładzie się pracach.
Tu, gdzie wsiąkał mych ojców znojny pot i krew niedaremna,
skierowuję znużony swój wzrok;
tu mnie nocne przywołują szepty,
bym nie zaparł się, nie zdradził, nie wydał,
bym pamiętał, w życiowych zaplątany bojach,
że to ona, nad wszystko przemożna a inna,
nigdy nie dość krwią opłacona,
moja, moja,
rozśpiewana ziemia ukrainna!

XI wystawa „Spokiju"

Ukraińskie Stowarzyszenie Artystyczne „Spokij" zorganizowało obecnie w Warszawie, w sali YMCA jedenastą wystawę swoich prac. O „Spokiju", o tradycjach tej organizacji i jej kierunkach nie piszemy po raz pierwszy na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego". Jest to organizacja o szerokich zainteresowaniach, łącząca w sobie i malarzy, i grafików, i architektów, i rzeźbiarzy. Jak wiadomo, członkowie „Spokiju" rekrutują się przeważnie z ludzi, którzy ukończyli warszawską Akademię Sztuk Pięknych, ale pracy swej nie ograniczają tylko do Warszawy. Okrężne wystawy tej naprawdę ruchliwej i umiejącej skutecznie walczyć z najróżnorodniejszymi przeciwnościami organizacji, znane są chyba wszystkim miastom południowo-wschodnich połaci kraju, zaś członkowie „Spokiju", nie opuszczając chyba żadnego lata, ciągną przy każdej sposobności w stronę wołyńskich wsi i miasteczek po słońce, po tematy, po natchnienie.

Nic też dziwnego , że wśród wystawianych w tej chwili prac „Spokijowców" uderza nas brak tych tematów, które z taką pasją są uprawiane przez większość współczesnych malarzy polskich.

Ukraińscy artyści nie lubują się w martwych naturach, beznamiętnych studiach, w formalistycznych rebusach. Sięgają oni po życie to, które ich woła i które potrzebuje ich pracy i ich poświęceń. Wychowankowie bezideowej sztuki dzisiejszych czasów nie przeżyją na wystawie „Spokiju" tych wzruszeń, do jakich przyzwyczaił ich wyrafinowany Picasso, Marc, czy Roussau.

Członkowie „Spokiju" wybrali dla swej sztuki drogę, która wiedzie do najistotniejszego zrozumienia treści i formy życia narodu ukraińskiego. Drogi tej nie przebrnęli oni dziś jeszcze i dalecy są od jej kresu. Zdają sobie oni z tego dostateczną rację i wiedzą, że nie rozwiązali w pracy swojej nawet części tych problemów, które w sztuce ukraińskiej czekają na rozwiązanie. Dlatego też sztuki „Spokijowców" nie można mierzyć wielkością dokonanego dzieła, ale ważnością podjętych zadań. Uwierzyli oni w sztukę narodową i sztuce tej zostali wierni. Wierzą, że w swej pracy nie pozostaną osamotnieni i znajdą następców. Za nimi pójdą wszyscy ci, którzy zrozumieją płytkość sezonowych izmów.

Nie znaczy to jednak, że „Spokijowcy" odgrodzili się grubym murem od tego wszystkiego, co niesie dzisiejsze życie artystyczne. Korzystają oni chętnie ze zdobyczy współczesnej plastyki, ale ze zdobyczy wartościowych i nieprzemijających.

Dowodem tego są płótna Aleksego Szatkowskiego. Szatkowski w swoich trzynastu interesujących płótnach dał się poznać jako zdecydowany impresjonista typu renoirowskiego. Nie są to jednak tylko naśladownictwa. Szatkowski dąży konsekwentnie do zdobycia własnej formy i własnego koloru. Jego „Baba", „Odpust", „Lirnicy", „Chłopiec" i „Praczka" są nie tylko pracami dojrzałymi, zdradzającymi duży nerw kompozycyjny i kolorystyczny, ale i pracami, które w sposób bardzo szczęśliwy rozwiązują te problemy, wobec których staje artysta odczuwający w sposób mocny wolę ziemi, z której wyrósł i z którą jest związany. Nastrój, temat, światło, nasycenie kolorów, melodyjność kompozycji poszczególnych prac Szatkowskiego mają swój bezsprzecznie głęboki sens niż to w pierwszej chwili zdawać się może, ale sens ujęty w zdecydowaną dyscyplinę plastyczną.

Innym biegunem odczuć i dążeń są prace Piotra Chołodnego i Piotra Megika. Ci artyści w bardzo szlachetnych temperach dążą do pewnych syntez i nawracają jak Chołodny, do monumentalności dawnego malarstwa ukraińskiego, lub, jak Megik, do połączenia charakteru dawnej sztuki ukraińskiej z jej dzisiejszymi potrzebami i założeniami. Bliski tym tendencjom może jest i Nił Chasewicz w swoich nastrojowych „Żurawiach", ale prawdziwa wartość tego artysty tkwi przede wszystkim w jego pięknych drzeworytach.

Dymitr Dunajewski dał się poznać jako dobry portrecista. Jego portret gen. M. Bezruczki, czy prof. P. Zajcewa łączą w sobie zalety rasowego portrecisty.

Borys Borkowski nie jest jeszcze skrystalizowaną indywidualnością malarską, ale jego „Ognisko" świadczy, że artysta ten nie obawia się ani trudnych prób, ani ich konsekwencji.

Olga Maryniak pokazała sześć obrazów, z których nie wszystkie znajdują się na jednakowym poziomie. Najlepszym są chyba „Dziewczęta". Dobre są też oba obrazy Barbary Biesiadowskiej.

Jerzy Myc — jak przypuszczam — jest jeszcze malarzem młodym o szerokich zainteresowaniach, ale który nie przeszedł jeszcze tej szkoły, jaką przeszli jego starsi koledzy. Prymitywy jego niektórych prac są rzeczą zbędną i rażącą. „Kurzyła się droga" jest namalowana z dużą pewnością siebie, ale małą dyscypliną. Przy dobrych założeniach tego artysty, spotykamy się z kiepskimi rozwiązaniami. Tych rzeczy można uniknąć tylko przy dużej i wytrwałej pracy. A Jerzy Myc jest malarzem, któremu uczciwa praca winna wynagrodzić się sowicie.

Oprócz wymienionych artystów, w wystawie wzięli udział: Mikołaj Adamczuk, który pokazał szereg dobrych, czasem zbyt kaligraficznych, rysunków, dalej Piotr Andrusiak, Mikołaj Bukatewicz, Leonid Masłow (projekty architektoniczne), Paweł Pawluczuk (studia w gipsie), Grzegorz Paziuk, Natalia Tiszczenko, Jakub Fedosiuk i Mikołaj Szczerlyk.

Dwa protokóły

Jeden raz w życiu stawałem ja przed sądem. Dawno temu nazad, jeszcze w Kijowi, jak mnie obwinili, ży ja chcę polski prowińćji oderwać od Rośji. Nu, tych prowińćji ja nie oderwałem, samy ony później oderwały si chwalić Boga, ali ży wtedy ciągali mnie po uczątstkach, to ciągali! I ja myślałem, ży to ostatni raz, a ot okazui si, ży źle myślałem.

A wszystko przez ten patriotyzm, ży ja nie mogi wytrzymać, żeby ludzi rozumu nie uczyć. A szczególnij młodzież — bo ktoż jo będzi uczyć, żeli nie my, ha? To ja wcali i nie żałui, bo charakter mój taki, ży za sprawiedliwość ja w razi czego mogi i pocierpieć trochi.

Kiedyś ja sobi myśli: cóż ja ciągli będy jeździć kolejo? Trzeba choć raz spróbować ot to kolejko podmiejsko, żeby zobaczyć, jaka ona. Ali okazui si, ży ona nazywa si kolejka, a jest ten

sam tramwaj. Nu nic; mogi i tramwajem przejechać si, jaż od tego farby nie puszczy.

Nu dobrze, wchodzy ja, stai. A tam pełniusieńko, ży nie daj Ty Pani Boży. Uchwyciłem si ja za ten rzemyk co wisi z góry (ty wisz? taki jak ten, co to koniowi pod ogon wtryniajo, jak zaprzęgajo jego) i trzymałem si. A naokoło stojo różny pani i stary, i młody, a nikt im nie ustępui, choć dużo męskich jednostek siedzi.

A największa nerwowość wzięła mnie na jednego podświnka. Lat jemu było ze siedemnaści; siedzi szelma, rozwalił si, nogi na nogi założył i ani jemu do głowy przyjdzi, żeby jako kobiety wpuścić na swoi miejscy. Ja troszki pomilczałem, a potem mówił do niego:

— Szprechen zi dejcz?

— Co takiego? mówi on.

— Oho! odzywam si ja, to kawaler mówi po polsku?

— Ot tobi na! A czegoż mnie po polsku nie mówić?

— Ja myślałem, ży ty, kawalerzy, nie Polak jesteś.

U niego mina zrobiła się taka zadowolniona i mówi on:

— He, to już nie pierwszy raz tak ludzi myślo. Najczęścij to mnie bioro za jakiegoś lorda. Widać fizjonomia moja angielska, czy co?

— Nu, mówi ja, za Anglika to ja ciebie, kawalerzy, nie wziołem a tak myśli sobi: Eskimos jakiś, czy moży negr Bantu...

On poczerwieniał jak ten rak i mówi:

— A cóż to taki dziwny gadani?

— Nu, bo Polacy — naród rycerski, oni tego znieść nie mogą, żeby damy stały, żeli oni sami siedzo.

I cóż ty myślisz: ży on zawstydził si i wstał? Wcali nie. Odwrócił si do swojego przyjaciela, takiego samego smarowoza jak sam i mówi do niego nie to żeby bardzo głośno, ali i nie bardzo cicho:

— Nienawidzy ja, mówi, żeby jakaś pierwsza lepsza idiota wtrącała nos w moi sprawy.

Mnie, rozumi si, złość wzięła. I mówi ja do niego spokojnym głosem:

— Ot ty nie lubisz, kawalerzy, żeby tobi nos wtrącali. To moży ty lubisz, żeby tobi wtrącali pod nos, ha?

Wziołem ja jego za prawy ucho lewo ręko, a prawy kułak podsunołem jemu pod nos. On zerwał si i rzuca si na mnie.

Nu dobrzy. Podnieśli jego z podłogi, a on rzuca si drugi raz. Ja i myśli sobi: „Nu, dobrzy, ży choć nie tchórz: znaczy si, nie zupełnie marny indywiduum". Podnieśli jego drugi raz, on znowu na mnie. Ja i mówi do niego taki słowa:

— Ty kawalerzy, na mnie nie rzucaj si, bo ja tobi żadnyj krzywdy nie chcę, a zupełni na odwrót. Ja chce, żeby jak ty kiedyś pojedziesz za granicy, to żeby wszyscy mówili: „Od razu widać, ży Polak, bo bardzo grzeczny i kulturalny człowiek". A tak cóż tobi za korzyść, ży każden powi: „Ot, siedzi sobi świniuka, rozwaliła si i ze swojego ryja wypuszcza niegrzeczny słowa"? Ty, kawalerzy, młody jeszcze jesteś, to tobi nijakiego ni ma wstydu posłuchać starszyj jednostki.

On trochi uspokoił si — zresztą jak jemu było nie uspokoić si, żeli ja jego przytrzymywałem za ręcy? — i nie taki już zły stoi. My by si byli zupełni pogodzili z nim, ale swoje drogo protokół z nami oboma spisali.

Nu nic, mnie nie szkoda.

Ali ty nie myśl, kochany Wocio, ży tylko na mnie piszo protokóły. Żeli po sprawiedliwości trzeba, to ja i na drugich mogi napisać.

Tydzień temu nazad idy ja sobi po Warszawi. Pogoda śliczna, ciepło. Dajminato, ży już na drugi dzień znowu było taki paskudztwo, ży coś okropnego, nu ali tego dnia jak raz było ładni. Zdjołem ja kapelusz z głowy i niesy jego w ręce. Publiki na ulicach massa, spacerują sobi, cieszo si, ży deszcz nie pada. Nu bo i klimat tutaj, żeby jemu z piekła nie wyliźć!

Nu, idy ja sobi, raptem słyszy, ży taki starszawy pan, któren przeszedł przede mno, zaczyna wrzeszczeć i łajać si; a jakaś paniusia za mną robi wszystko to samo, tylko nie wrzeszczy ali wiszczy. Tylko co ja chciałem zdziwić si, aż tu czui, ży mnie coś mokrego lei si na głowy i za szyi. Nu dobrzy. Dotrącam si ja ręko do głowy, późnij patrzy na palcy: błoto.

Ot tobi na! Myśli ja sobi. Czegoż błoto lei si z góry, żeli prawidła natury wymagajo, żeby ono leżało na ziemi? Wziołem chustki, wytarłem si, a chustka zrobiła si czarna jak ziemia matka. Ja zawiązałem na nij węzełek, żeby znaczy si nie zapomnieć rzucić jo w soboty do brudów, a sam podnoszy głowy i patrzy si, skąd taki błoto. A tu raptem znów cała kałuża mnie akurat na wąsy. Ehe myśli sobi, cóż to takiego!

A ten starszy pan i ta paniusia powrzeszczeli sobi, powiszczeli i poszli dalij. Nu nie, myśli ja sobi, jakży można tak zostawić! I mówi ja do tyj publiki, która stała naokoło i śmiała si, ży ja taki oblany:

— Rodacy! Wy widzicie, co tu robi si?

— Widzimy, mówio.

— Czegoż to błoto lei si z góry?

— Bo tam na drugim piętrzy dziewczyna podkasała si bardzo wysoko i myi balkon.

— Nu dobrzy, mówi ja, ży ona wysoko podkasała si; ali czy jest taki prawo, żeby przechodzącym jednostkom lać kałuży na łeb na szyi?

— Nie, mówio, takiego prawa ni ma.

— Ot i ja mówi, ży ni ma. W takim razi chodźmy, rodacy, na góry robić skandal.

Oni szelmy ani drgno. Póki śmiać si z człowieka, to oni jowszem, ali jak sprawiedliwość i porządek zaprowadzać w ojczyźnie, to — mersi ną.

Idy ja na góry, naduszam dzwonek. Otwiera mnie ta sama dziewczyna, cała mokra beśtia. Ja i mówi do niej:

— Dzień dobry z panienko. A cóż to panienka wody lei na ulicy?

— Bo jutro święto.

— A jak jutro święto, to trzeba obliwać całe społeczeństwo?

— Ja tam nic nie wim. Jak mnie kazali, to ja i myi balkon, nie moja wina.

Popatrzałem si ja na jij twarz, ży ona taka okropni brzydka, i mówi troszki humorystyczni:

— Ja i sam myśli, że panienka n i e w i n n a. Proszy iść i poprosić pani.

— Kiedy pani wyszła.

— Nu to pana.

Poszła ona, zawołała jego, on i wychodzi do mnie z okropni nachalno mino, nie wita si, tylko mówi:

— Co?!

Ja zdenerwowałem si troszeczki i mówi:

— Szkło.

— Nu, nu! Bez żarcików! Czego?!

— Szkłego. Zawsze lepij trochi grzecznij. Kosztui niewieli, a wszystkim przyjemni. Ali mniejsza z tym. Niech pan powi swojij służącyj, żeby ostróżnij balkon myła.

— Mnie pańskich nauk nie potrzeba.

— E, to panu tylko tak zdai si, ży panu już nie trzeba nauki. Nie można publiki obliwać.

— Nie pańska rzecz.

— Rzecz moży i nie moja, ali łysina moja i mnie nieprzyjemni, żeby na nio brudy lały si. Zresztą ja nie tylko za siebi stoi, ali i za cały społeczeństwo.

— Dowidzenia — i chce zamykać dzwi.

— Proszy trochi zaczekać. To jakży będzi? Każy jij pan przestać, czy nie? Bo żeli nie, to ja idy po policjanta.

— Słowem ili?

— Jakto ili?

— Nu ili pan chce? Dwa złoty wystarczo?

— Nie, mówi ja, dwa złoty nie wystarczo, ali dwa rozumny słowa wystarczo. Nu to jakży będzi?

— A idź pan sobi do licha.

On pewni myślał, ży ja tylko taki sobi, na niby groży. Bo jak ja wróciłem z policjo, to on zdziwił si nieprzyjemni i zrobił si bardzo grzeczny. Dawaj prosić nas, żeby my dali spokój, ży on już nie będzi i tak dalij. Ali już było za późno: protokół i tak musieli spisać. Jak człowiek nie chce trzymać si rozumu, to ot taki konsekwencji. Mnie nawet trochi było jego szkoda, ali cóż robić?

Ot tak to człowiek musi nadrywać si dla tyj naszyj miłyj Ojczyzny.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

VARIA

Z prasy polskiej

Wnuk Skargi. P. Grabiec w ostatnim numerze „Polityki" nazywa „Późnym wnukiem Ojca Skargi" ks. Kosibowicza, w związku z jego artykułem w „Przeglądzie Powszechnym" pt. „Zagadnienie ukraińskie". Duże fragmenty artykułu ks. Kosibowicza zamieściliśmy w dwóch poprzednich numerach „Biuletynu", obecnie dajemy refleksje wybitnego publicysty z „Polityki" na temat publikacji ks. Kosibowicza:

„Byłoby trudno wskazać dziedzinę w której Polska obecna zrównywa się ze swymi sąsiadami Zachodu, czy gdy chodzi o dobrobyt, czy o oświatę, o motoryzację czy o uprzemysłowienie, o strukturę agrarną czy o sztukę. Ale to pewna, że mało która dziedzina naszego życia uległa takiej degringoladzie, co publicystyka i prasa. Zresztą, co tu mówić o degringoladzie prasowej. Wystarczy wymienić nazwiska czołowych publicystów wszelakich organów sprzed laty dziesięciu, kilku nawet, a teraz. Miała „Gazeta Polska" Ignacego Matuszewskiego — zamieniła go na Stahla, miał „Kurier Poranny" Ehrenberga — ma Hrabyka, miał „Kurier Polski" Rosnera — zajęli jego miejsce akwizytorzy. Trudno się dziwić, że po tym wszystkim prasa wygląda tak, jak wygląda. Zatracono już nie tylko wszelkie poczucie miary, ale sam przestarzały zwyczaj nazywania rzeczy po imieniu. Czytaliśmy elokubrat którego autor popisywał się swą miłością do „bratniego narodu ukraińskiego", poczem projektował „rewindykowanie" dla „polskości" jednej piątej tego narodu, pozbawienie zaś wszelkich praw, emigrację i wysiedlenie całej, kilkumilionowej reszty. Oto jacy statyści wyłażą dziś na trybuny opuszczone przez Hołówków, oto jakich „piłsudczyków" wyhodował sobie duch zdobywczy Kijowa! Byli tacy statyści i dawniej, byli, czemu nie ale przynajmniej, jak Bóg przykazał, siedzieli w endecji, o kradzieży koron i telefonie Kreml-Belweder jeszcze rozpowiadali. Związek Ludowo-Narodowy takich mędrców trzymał pod korcem, na szpalty prasy i widok publiczny nie puszczał.

Nie należy lekceważyć prasy, tych tygodniczków i podtygodniczków które drobnym nurcikiem wsiąkają w rynek polski. One jednak swoje robią, one jednak zamulają i tak niezdrowy sąd opinii, one jednak zaciemniają poczucie rzeczywistości narodu. To pewna, że staczamy się pod względem poglądów do czasów saskich i przed saskich. Czy przesada? Znalazła się przecież u nas prasa która zwalcza projekt powiększenia realnego polskiej armii. No, a przeczytajmy jakiekolwiek wywody nowych rozwiązywaczy sprawy ukraińskiej? Kazał się kłaniać pan Zagłoba, który to „chamstwo" lekceważył, i kniaź Jarema, do wbijania na pal skory, i znakomici regimentarze spod Piławiec, którzy darli się krzykiem przerażenia. Możnaby sądzić, że przynajmniej wojny religijnej unikną: wiek XX to nie XVII. Ale wołyńskie Hrynki i Derkały świadkiem, że znaleźli się niewyżyci apostołowie, którzy wprawdzie do zakonów nie wstąpili, na księży nie poszli, ale i tak nawracają całe wsie. Cudowność tych nagłych nawróceń przypomina dzieła Franciszka Ksawerego i Andrzeja Boboli. Co prawda, tamtym zdarzało się nawracać rzesze od jednego zamachu, naszym zaś jak słychać, potrzeba nieco więcej zamachów. I cuda te dzieją się wprawdzie przy pomocy różdżki, ale że oliwek na Wołyniu się nie sadzi, przeto nie oliwnej.

Możnaby sądzić, że dzieła te będą widziane miłym okiem przez oo. Jezuitów, którzy z tolerancji lat temu trzysta nie byli zbytnio znani, mogłoby się zdawać, że kto jak kto, ale oni właśnie udzielą błogosławieństwa. Okazuje się jednak, że jest inaczej. Podobnie, jak wielu przedstawicieli kresowej, dawnej szlachty, z Gołuchowskim, Borkowskim, Łosiem, nie żywi dziś kultu dla metod a la kniaź Jarema, tak samo Ojcowie Jezuici patrzą okiem nader, ale to nader sceptycznym na epigonów z czasów Zygmunta Wazy. Kto chce znaleźć w naszej smutnej epoce dowód rozsądku, pamięci na lekcję historyczną, względu na prawdziwą rację stanu, docenienie sprawy ukraińskiej, obiektywizmu, konsekwencji, niech przeczyta sobie wielki artykuł ks. Edwarda Kosibowicza T. J. w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym".

Cytując i omawiając poszczególne tezy ks. Kosibowicza, p. Grabiec stwierdza, iż „...jest coś pokrzepiającego w fakcie, że tak mówi, tych tez niepopularnych broni, o tym tak godnie, ale i odważnie, pisze właśnie duchowy potomek, „późny wnuk", Piotra Skargi: Jeśli naród nie skorzystał nic z krwawej lekcji Polski szlacheckiej, to przynajmniej pewne jego słoje tę lekcję zapamiętały, Gdy mówi się w Polsce: jezuici, myśli się: Chyrów. Otóż jest w tym Chyrowie, olbrzymim gmachu jezuickiego zakładu wychowawczego, tablica dziękczynna, votum, za uratowanie zakładu podczas wojny rosyjskiej i ukraińskiej. Wmurowano ją w nadedniu bombardowań ostatnich, gdy po obstrzale ukraińskiej artylerii klasztor, nie będący obiektem wojennym, był bez dachów, bez szyb, z postrzelanymi ścianami, ze zwalonymi murami. Dwudziestu Jezuitów było aresztowanych, wywiezionych, więzionych, paru potem w więzieniu ukraińskim umarło. Pozostali, na tablicy wotywnej, użyli jednego tylko określenia dla tego najstraszniejszego dla nich właśnie okresu wojny. Nazwali go nie „hajdamaczyzną", nie „ruskim miesiącem", nawet nie „wojną polsko-ukraińską". Nazwali go „walkami bratobójczymi". Tak by to nazwał Józef Piłsudski, ale tak by tego nie nazwali nasi nacjonaliści. OO. Jezuici dowiedli wtedy, że rozumieją sens historii polskiej. O. Kosibowicz daje nam dzisiaj tego rozumienia, w przerażającej chwili upadku naszej myśli politycznej, nowy, wspaniały, odważny, odpowiedzialnością przejęty, dowód. Doprawdy, jest w tym artykule cień przestróg skargowskich".

„Na terenie Chełmszczyzny tworzy się ukrainizm". „IKC" (18.V) zamieszcza alarmujący artykuł dra St. Petersa pt. „Tragedii Ziemi Chełmskiej — akt drugi". Autor alarmuje:

„Na terenie Chełmszczyzny tworzy się ukrainizm najświeższej daty, ukrainizm, żerujący na pozostałościach po zaborcy i dzisiejszych nieuregulowanych stosunkach".

Autor uzasadnia swoje twierdzenie w ten sposób:

„Liczba prawosławnych Polaków gwałtownie maleje!

— Ilość katolików procentowo spada, prawosławnych rośnie!

— W wioskach, gdzie od lat wszyscy rozmawiali po polsku, dziś coraz częściej posługują się językiem ruskim.

— Dzieci prawosławnych, które chodziły na naukę religii rzymsko-katolickiej, dziś gromadnie przestają uczęszczać na nią, a najgorsze, że w ogóle przestają chodzić na naukę jakiejkolwiek religii. Popi bowiem po zażądaniu od inspektorów szkolnych osobnych godzin nauki religii prawosławnej — w wielu wypadkach przestali dzieci uczyć tej religii, ograniczając się do spraw innych...

— W tym roku po raz pierwszy na odpuście w Chełmie pojawiła się procesja prawosławna z żółto-niebieskimi chorągwiami.

Oto groźne przestrogi, które słyszałem z ust przedstawicieli społeczeństwa polskiego.

Dlaczego władze tak słabo reagują na jaskrawe pogwałcenie ustaw przez nasłanych duchownych? Mają pełne prawo wymusić od popa opuszczenia swej „parafii", zaprzestania nabożeństw. Staraliśmy się udowodnić, że tu dużym hamulcem jest nastawienie pewnych czynników u góry, oddających się złudzeniu, że popi stanowią czynnik skutecznej walki z komunizmem i za cenę zwalczania tego niebezpieczeństwa przymykających oczy na wszystko inne. Ale są jeszcze inne powody. Popi prowadzą dwulicową grę. Co innego na ustach, a co innego w sercu. Zapisują się chętnie do stowarzyszeń polskich, płacą nawet regularnie składki. Gdy wypadnie jakieś nabożeństwo oficjalne, pop mówi kazanie po polsku. Tylko że na takim nabożeństwie poza władzami administracyjnymi nie ma prawie nikogo z wiernych, bo to zwykle dzień powszedni i wtedy chłop nie ma czasu na cerkiew. Jeśli więc nawet władza administracyjna wystąpi przeciw popu nieoficjalnemu, poczyna się krzyk, wysyłanie petycyj i depesz do rządu. Tego sobie żadna administracja na świecie nie życzy...

A tymczasem inspektor na lekcji religii stwierdza ze zdziwieniem, że te same dzieci, które na innych przedmiotach mówiły po polsku, teraz nagle automatycznie mówią po rusku. Z twarzy popa można poznać, że nie jest z tego zadowolony zbytnio".

„Anschluss wołyński". Łucki „Wołyń" (15.V) w artykule pod powyższym tytułem charakteryzuje mniemanie „hurrapatriotów" o Wołyniu:

„W umysłowości niektórych sfer społeczeństwa polskiego, obcych wszelkiej kulturze myślenia politycznego, panuje zabójczy szematyzm, operujący chwilowym impulsem uczuciowym, a szukający łatwych wzorów i analogii w zdarzeniach politycznych najbliższej doby, najbardziej poruszających wyobraźnię tłumów.

Ostatnio obserwowaliśmy z okazji zmiany na stanowisku wojewody wołyńskiego wymowną ilustrację tego typu myślenia.

Oto pewien organ prasowy, a za nim i różni hurrapatrioci wołyńskiego chowu, dotknięci kompleksem niższości polskiej wobec „ukrainizacji" Wołynia, wznoszą okrzyki „hosanna" wobec powrotu tegoż Wołynia „na łono Polski".

Byłby to odruch porywający, gdyby nie wynikał z daltonizmu tych osób, podsycających uczuciowość tłumu analogią, spreparowaną zapewne według recepty niedawnego anschlussu austriackiego.

Daltonizm nie pozwala dostrzec, że analogia ta godzi w powagę Państwa, że wywołuje szkodliwy rozdźwięk w społeczeństwie. Czyżby reakcja myślowa tych panów uległa opóźnieniu o lat blisko dwadzieścia?

Wszak od tylu lat sztandar Rzeczypospolitej powiewa nad ziemią wołyńską, zatknięty zwycięską ręką Józefa Piłsudskiego. Powiewa, jako błogosławieństwo tej ziemi i jako symbol niezniszczalny wielkich dążeń Rzeczypospolitej.

Nie dosłyszał jego łopotu organ prasowy, o którym mowa. Powiedzonko anschlussowe zostało rzucone na pastwę nieodpowiedzialnej ulicy, łaknącej, jak zawsze, łatwego wyżycia się".

Konserwatyści o deklaracji UNDO. „Czas" (15.V) w art. „Deklaracja UNDO", stwierdzając, że deklaracja ta spotkała się ze strony polskiej „z bardzo ostrą reakcją" — pisze:

„...Powoływanie się na zobowiązania międzynarodowe Polski, jak to czyni deklaracja, jest kardynalnym błędem politycznym".

Co innego jest sprawa polskiej czy niemieckiej mniejszości w Czechosłowacji, a co innego jest kwestia ukraińska w Polsce: za Polakami i Niemcami w Czechosłowacji stoją potężne państwa sąsiadujące, tymczasem Ukraińcy nie mogą liczyć na pomoc żadnej potęgi.

„Sposób, w jaki pretensje te (ukraińskie — Red.) zostały sformułowane, wyklucza... skądinąd pożądaną dyskusję".

Deklaracja undowska, zdaniem „Czasu", wzmocni tylko czynniki polskie, domagające się zastosowania względem Ukraińców „analogicznej polityki, jaką rząd pruski przed wojną stosował względem Polaków".

Przegląd prasy ukraińskiej

Nie partie, grupy i deklaracje, tylko ludzie... „Diło" (12.V) w artykule „Prawica i lewica" poświęca uwagę ostatnim przesunięciom osobowym na terenie polskich grup politycznych. Dziennik ukraiński na podstawie dotychczasowych doświadczeń twierdzi, że w odniesieniu do kwestii ukraińskiej, „prawica" i „lewica" są właściwie nic nieznaczącymi kryteriami. Bardzo często bowiem lewica polska inicjowała bardzo ostre zarządzenia w stosunku do Ukraińców, a prawica częstokroć (konserwatyści) wykazywała więcej umiaru w ofensywie antyukraińskiej. W końcu swych wywodów „Diło" pisze:

„Nas, Ukraińców, naprawdę bardzo mało ciekawią niuansy ideologiczne, dzielące i kłócące polityków polskich, mało też ciekawią firmy „lewicy" czy „prawicy", wypisane na wywieszce partyjnej i biletach wizytowych. Hartowani w realnej rzeczywistości, odczuwamy coraz większą niechęć do teoryj, doktryn i firmowanych tabliczek: przestajemy bowiem rozróżniać partie, grupy i deklaracje, a znamy tylko ludzi, którzy tworzą te lub inne rzeczy i mierzymy ludzi wyłącznie miarą ich dzieł. Wiemy bowiem, że chociaż w polskim świecie politycznym odbywa się proces w kierunku przegrupowania idei i osób, to wiemy też, że na froncie wobec Ukraińców nie zmieniło się nic i żadnych zmian nie przewiduje się na przyszłość. Może tylko wzmacniać się tempo tych samych dzieł. I to dla nas jest jedynie ważne".

„O narodowy charakter Wołynia". „Diło" (10.V) w artykule pod powyższym tytułem m. in. pisze:

„Na Wołyniu toczy się walka o narodowy charakter tej ziemi, walka ta jest tam jeszcze większa niż w Galicji Wschodniej. Odporność Ukraińców w tej walce jest tam słabsza niż na terenie Galicji Wschodniej z powodu bardzo słabego stanu naszej organizacji na Wołyniu".

Autor, dr. St. Baran, pociesza się liczebną przewagą Ukraińców na Wołyniu w porównaniu z tamtejszą ludnością polską oraz liczy na „niewątpliwy wzrost ukraińskiego uświadomie-

nia narodowego wśród młodego pokolenia na Wołyniu".

Przykład Czechosłowacji. W „Dile" z dn. 13 maja p. Kedryn pisze, że Czechosłowacja jest klasycznym przykładem błędów, których państwo nie powinno czynić, oraz tragicznych skutków, które pociąga za sobą lekceważenie wielkich zadań. Tragizm Czechosłowacji polega na tym, że Niemcom powodziło się w jej granicach stosunkowo lepiej, niż w jakimkolwiek innym państwie, a Ukraińcy Podkarpaccy otrzymali w Czechosłowacji możność zapoczątkowania ruchu odrodzeniowego po straszliwym asymilacyjnym regimie węgierskim. Polacy posiadają tam możliwości, o których pisze p. Chmielarz w niezdementowanej przez polskie źródła broszurze „Polska mniejszość w Czechosłowacji", a Węgrzy posiadają na Rusi Podkarpackiej i w Słowacji takie prawa, jakim sami swoim mniejszościom nie dawali. Mimo to, istnieje dzisiaj w świecie opinia o ucisku narodowościowym w Czechosłowacji dlatego, że paliatywy nigdy problemu nie wyczerpują. Ukraińcy nie odczuwają żadnej radości z powodu dzisiejszych trudności Czechosłowacji i cieszyliby się serdecznie, gdyby się jej udało trudności te zażegnać przez przyznanie najszerszych praw autonomicznych mniejszościom narodowym i zaprzestanie raz na zawsze prób denacjonalizacji i sztucznego zaszczepiania niezdolnej do życia teorii w rodzaju rusofilstwa na Rusi Podkarpackiej. Nie można jednakże nie skorzystać z błędów czeskich i nie stwierdzić, że najważniejszym problemem XX stulecia jest problem mniejszości narodowych. Nie można nie wskazać na to, czym się kończą wszelkie próby rozwiązywania tego zagadnienia nie jedynie celowym sposobem — przyznania mniejszościom należnych praw. Nawet jeśli się uda usunąć nazwę danej mniejszości z wykazów statystycznych i zlikwidować wszelkie zorganizowane objawy jej egzystencji, problem pozostanie problemem i będzie czekał na swe rozstrzygnięcie. Rozstrzygnąć go zaś za jednym zamachem po uprzednim niewykorzystaniu wszystkich możliwości, to zadanie, któremu nie sprostał żaden geniusz w historii świata. „Powiadają — dodaje p. Kedryn — że historia jest nauczycielką życia. Ale istnieje i inny pogląd, że historia jeszcze nikogo nie nauczyła".

List do Redakcji

W 19/258 numerze „Biuletynu Polsko - Ukraińskiego" z dnia 8 maja rb. ukazała się recenzja zatytułowana „Broszura tatarska o zagadnieniach krymsko-ukraińskich", omawiająca naszą publikację — „W odpowiedzi ukraińskim imperialistom".

Uważamy za właściwe i konieczne zareplikować na ową recenzję, ponieważ — primo: publikacja nasza nosi tytuł nie „W odpowiedzi ukraińskim nacjonalistom" ale „W odpowiedzi ukraińskim imperialistom" (pojęcie nacjonalista i imperialista są jak wiadomo, dalece niejednoznaczne). Secundo: zdanie recenzji: „...idei Prometeizmu (solidarności ujarzmionych przez Rosjan narodów w ich walce ze wspólnym wrogiem imperializmem)" jest niezupełnym cytatem z naszego tekstu. W publikacji bowiem brzmi on w ten sposób: „...idei Prometeizmu (solidarności ujarzmionych przez Rosjan narodów w ich walce ze wspólnym wrogiem imperializmem rosyjskim)", a więc pominięty został przymiotnik „rosyjskim", wskazujący o jakim imperializmie jest mowa. Będą to uwagi charakteru formalnego. Tertio: naszym zdaniem, autor recenzji w niewłaściwy sposób zinterpretował naszą postawę wobec antykrymskich wystąpień p. B. Hałajczuka. Zdanie autora recenzji „Tatarzy krymscy obrazili się" z tego powodu na p. B. Hałajczuka oraz twierdzenie, że autor naszej publikacji uważa tezę p. Hałajczuka o przyszłym przyłączeniu Krymu do Ukrainy w charakterze jednostki autonomicznej „za obrazę", uważamy za wnioski niewłaściwe i błędne. Wystąpienie p. Hałajczuka nie jest grą w „papierowe żołnierzyki" i chociaż tezy głoszone przez niego są dalekie od możliwości ich zrealizowania, tym niemniej wystąpienie jego w kwestii krymsko-ukraińskiej nie jest listem prywatnym, lecz manifestacją polityczną, ogłoszoną w prasie ukraińskiej. Dlatego też nie można sprowadzać naszej reakcji do bezużytecznej obrazy na jego osobę. Takie postawienie sprawy jest niewłaściwe, można też się w nim dopatrzyć próby bagatelizowania naszego wystąpienia. Nam, Krymianom, chodzi nie o osobę p. B. Hałajczuka, nie o kwestię „obrazy" na ukraińskiego publicystę, lecz o całość, a kompleks wystąpień antykrymskich, płynących w ostatnich latach z pewnych odłamów obozu ukraińskiego, co zaznaczyliśmy wyraźnie w naszej publikacji.

W imieniu młodzieży krymskiej

Kirimli Jigit.

Otrzymujących „Biuletyn Polsko-Ukr." z tytułu ich stanowiska społecznego czy oficjalnego, upraszamy o wpłacanie prenumeraty

TREŚĆ

WARUNKI PRENUMERATY: **W kraju:** rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4.50, kwartalnie zł. 2.50, miesięcznie zł. 1
Zagranicą: rocznie zł. 16, półrocznie zł. 9, kwartalnie zł. 5, miesięcznie zł. 2. Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Nowy Świat 66 m. 13. Telefon 234-60. Konto P.K.O. 26.842.

Redaktor i Wydawca: **Włodzimierz Bączkowski.**

NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ. *Zakl. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40*